

Robert Król

LIDA

Teatr Mały
TYCHY 2004

Teatr rozstrzygnął czwarty konkurs na tomik wierszy
„Tyska Zima Poetycka” – po debiucie

Nagrodzono tom: „Lida” Roberta Króla

Jury edycji:

Bogusław Kierc, Bronisław Maj, Maciej Melecki

W serii BIBLIOTEKA TYSKIEJ ZIMY POETYCKIEJ ukazały się:

Cezary Domarus „Mózg Story” (2001)

Adam Pluszka „Zwroty” (2002)

M. K. E. Baczewski „Antologia wierszy nieśmiałych” (2003)

© Copyright by Robert Król

Redakcja: Arkadiusz Kremza

Projekt okładki: Łukasz Pudełko

Zdjęcie na okładce: syb

Wydawca: Teatr Mały, 43-100 Tychy, ul. ks. kard. Hłonda 1
tel. (032) 227 20 67, e-mail: teatr.maly@teatrmaly.tychy.pl

Książka ukazała się przy pomocy finansowej
Drukarni Oldprint w Żorach

Nakład: 500 egz.

Druk: Oldprint Żory

ISBN: 83-907472-4-3

Robert Król

LIDA

MALL

Była szarówka, tak jak teraz. Popiół opadał szeroko jak efemeryczny brezent. Mall odszedł w najlepszym czasie. A był to czas zbierania pękatek poziomek. Podwórka pełne gołębi, piaskownice pełne syntetycznych odchodów, o syntetycznych kolorach. (A były to

kolory khaki.) Żywica puszczała się ciurkiem ze ścian. Lepkie soki odchodzącej aury. Widma słońc o obliczach pokrytych mapkami blizn. Emblematy owadzych czułeków przyległych do rozgrzanych szyb. Pieczęcie opuszków na wysmukłych szklankach. Wszystko

jaśniało pod groźbą finału. Sploty poruszeń chwastów. Zwiastuny pod postacią jaskółek. W nocie owalne od pogrózek wiatru wchodził na klif. — Rasto!, wołając. A ta nadbiegała i kładła mu się u stóp.

Mall gromadził atrybuty sierpnia na tyłach posiwiiałych stadionów. Odmykał skorodowane puszki zębami i dorzucał wiązki rudej tektury do ognia, którego nie odstępował na krok. Obok puchła grzybnia.

LOTY

Dobrze widzę? Szybowiec zahaczył o zrudziałe działło wzniesienia. Zrobił piruet, ale nie ustał i absurdalnie stoczył się na dno parowu, którego głębokość tego roku liczono tylko w łokciach albo sążniach. Głęboki parów, tandetny szybowiec. Ale już mija go powódź sunąca

niebem. Zalew przebłysków i pył. Mógłby być też ił. Powoje tłustych glin. Lepiłbym wtedy figurki podług prastarych recept, o taliach wciętych i mobilnych, niby sieć z gorączką rabatów. Ale postawię na tobie krzyżyk. Albo kreskę. Będzie dłużej. Wyjdzie ci raz na złe.

Będę jak anachroniczny Peter, z którym mnie kojarzysz. Dobrze widzę. Zepsute welonki obłoków. Zgrzybiałe akwarium błękitów. Akwatorium dla szybowców takich, jak ten z parowu. I przyjechała

telewizja, żeby robić naturalne zbliżenia po ciemku. Najazdy kamery głuche, niczym kłapięcie powiek pod dotykiem Lidy. No i złoiliśmy się na amen. Pozornie zbiegam się, jak ślady meteorów. Tworzę rój.

EM

Knebel autobusu przytkał tunel, zniósł przeciąg. I tamtą drogę, podkręconą zmysłowo, jak jedno srebrne pasemko z czoła córki Johna Duke`a w filmie o doniosłych apartamentowcach chmur, wypełnionych siwym, jak wierzch dłoni, powietrzem. Zakosztuj

luksusu, mówili wszyscy, prócz kierowcy. Mgławice przekleństw ciągnęły się niby plusz, Lido. Lecz nie lękaj się. (I patrz za nami. Powłóczą.) Trzęsę się na twój chory widok. Jestem głuchy pochod nadłamanych łodyżek, przecież wiesz. A tam ryba wyobrażona.

O barwie doskonalszej od błękitnego skurczu źrenic pod złamane światło. Pod pierścionek słońca, zwlekany z kośćca nieba, choćby teraz. A ta woda jest pusta. (Słucham Adama.) Leci i w środku nic

nie ma. To dlatego w kieszeniach nosiła kamienie, orła i resztkę przeżutego banknotu. Miałem ją przed oczami jak poranny spektakl przywidzeń po szumnym dryfie na bliskich sercu częstotliwościach.

Buteleczki były chyba kwaterkowe. Pstrokate nakrętki, osadzone na zdartych gwintach, wyglądały z papierowej torby jak łepki żółtych piskląt, tak żółtych, że aż śliskich, że mokrych. Paskudztwo, mówiły kobiety o zadartych nosach i sukienkach szytych grubymi

nićmi. Tak grubymi, jak kłamstewka Lidy. Krawędzie papieru rznąły podgardla flakoników przy każdym hamowaniu. Z podłogi podrywało się w górę trochę piór, ale tylko trochę. Przerywany seans deszczu. Szybka ulewa raczej. Acz obfita. I to jakbyś ją

przewijał od końca na podglądzie. Dobra letniość wody. Inne plusy. To był ostatni taki rok u boku Lidy. Był to chyba ostatni rok mego dziewczęstwa. Wietrzne zakusy. Zerwane dachy, dachówki, kafelki

w wychodku. Ale żołądek odmawiał posłuszeństwa. Nie było z czym chodzić. Kałuże szeleściły, jak rozwinięty celofan. Wioska stała w trwodze, połowa następnej w jeszcze większej, po prostu.

AZJA

Wysmażyliśmy dla ciebie piekielko, prezesie. Będzie dobrze.
Miałeś w oczach warkocze niepokojących kurwików, no to
nas wzięło. W końcu tobie coś tam pękało, jak butle ozonu.
Jak tętnice błyskawic na niebie spapranych odcieniami gniewnych

czzerwieni. Przywołaj słowo: balejaż. Wspaniałe uczucie. Sól,
prawie że krew. Zapach mokrych oczu, białek ściętych oranżadą
w proszku. Dosypać? Zgasimy to wapno. Zrobi się bajecznie.
Pojawi się jakaś spłonka uśmiechu. Przelotna haftka drwiny.

Który piszesz o walorach śmierci i luki w pamięci wypełniasz
oddechem. Nauczyłem się wariantów złego. Tyle można zrobić,
aureolę snu nosząc w kieszeni na tyłku. Znaki równości kładąc

pośród drzewami o zdartej powłoce. I możesz nic nie wiedzieć
o widmach śmigłowców czy antycypacjach plotek. I pamiętam
swoją naprawdę pierwszy raz. Nabiliśmy ją na drewniany trzonek.

DECH

Daję słowo. Moja klatka piersiowa zapadnięta na kształt twoich pośladków. Pęknięta stągiew głowy na tyczce kręgów, ponabijanych na skorodowaną miednicę. Reszta zmienna, jak krótki, przerywany dech. Tak, panie, dech. Przyszedłem

tutaj z ciężkim sercem. Jestem już skruszony. Czuję się mniej więcej, jak pierwszy lepszy strąk. Jak wyka. Miewam we krwi takie galopy od drugich narodzin. Po tym, jak mnie wyciągali z rzeki i szlam staczał mi się po karku. I co zrobić, że znam

miejsca, które robią wirki? Do których mogę jeszcze powracać, podpływać na szerokość ramion. Trzeba gromadzić cklive czułości. Widoki opuchłe od skwaru, nacięte liśćmi opuchłymi

od deszczu. Przecież się nie odgonię od tych zagwostek. A żona opowiada, że całe życie mówię do niej prozą. Że daję koszty, to inni je ponoszą. Żebyś wiedziała, były takie momenty, były.

LUCJANY

Ta sama historia: ciągi, cięcia, ciągłości. A przecież głowę dawałem, że będzie inaczej. Tymczasem ulica. Zakręt alei. Jabłka poharatane krzywym zgryzem (jak pyszne wiatry z południa, spod schodów) zewsząd się wytaczają. Więcej grzechów nie spamietam. Czuję ścisk,

jak kelnerka z aparycją atlety. Chociaż jeszcze odpowiadam za siebie, ciebie, za koty, które zaniedbałaś. Myślisz? Myślę i składam pokłony. Za oknem akcje wygrabiania liści zmniejszają jakąś robaczą populację. I pytasz o szrotówkę. O jej pustą matkę. (A jej matka, ot, spleśniała

i lochowata.) A poza tym multum form zbliżonych, mówię. Potworne wloty i wyloty motyli, ważek, szerszeni. Na całkiem znośnych pułapach. Głośne chrząsty skrzydełek, tarcia, polerka w normalnych odstępach.

Zaczynam miewać zwidy i słychy. Takie, jak wtedy, kiedy się topilem i holowali mnie bosakiem wkłutym pod żebro. Nie na tym zresztą widz polegał. Ty, któraś była. Kiedyś wstanę. Wyścig na półmetku, powiem.

IGIELIT

Mróz daje nam niezłego łupnia. I po swojemu zbiera się w rozstęgach asfaltu. Sypanica, mówię ci, nie śnieg. Ale jazda fastrygą odchodzi w najlepsze. Tak, że dobra jest. Że dokładniej nie potrafisz. No bo nie ma uprosz.

Za minutę albo dwie dyszel dwupasmówki łamie się w połowie. W polu naraz wyrasta barak czy chałupa. Jeden pies. Co tu więcej mówić. Zawsze coś na drodze. To pasy, to znowu rancik pobocza planuje się kończyć.

A my w polu. Jakby tego było mało. W oślich łączkach siatki zasp płączemy. Odstawiamy slalomy i szusy. Aż leje się ze mnie larwami. Uwiad kończyn przechodzę.

Jużeśmy w sieni. W łazience. Pod zimnym natryskiem. Postoję tak chwilę. Ale już wychodzę — niby żem umyty. Pianę z uszu puszczam. Spirale mydlin. Skrętki pleśni.

HELU

Już leży plackiem. Już się nie porusza. Stuart rezolutny
jak żyłotka w wodzie dostarcza jej woreczki z lodem.
Poczułem, że sprawa jest zakotwiczona. Dzieli ich tylko
ten, ta i płaski rozporek, co to utkwiał na wykwitach rdzy;

jeszcze mu daleko do ust i oczu, ale napiera, zadziorny.
Nie chcę nawet pomyśleć, jakie ma z tym na stronie
problemy. Choć może wcale. Sam dokładnie nie wiem.
Śladami fosforu przez włosy grzebień może prowadzić.

Nie ma bata. Z dymem puścić coś trzeba, z torbami,
sam Bóg wie zresztą z czym jeszcze. Bo wysokość
taka, że bąbli helu mamy po uszy. Niechaj i tak będzie.

Odkryjesz smak wielkich ubytków. Podchody śmierci.
Musiałś być krew, nie woda. Jako trącona czubkiem
buta kałuża, dając znak, że słońce się pokłada, jak widać.

POST

Znowu rzeka. Lecz nadal głowę mam pełną gonitwy,
ugniatania sreber i przekleństw ze strony krewkich
pijaczków. Wandale. Co to sobie powietrze porcjują
półgębkiem na partykularzach, jak chcą. Mimo, że ci

obok, widać, mają dość. Ule mijają. O wyheblowanych
ściankach. Daszki parują ciemnym gontem. Ale już
sobie, opoje, dalejże, swawolą z pszczołami, rozeźlonym
trutniom rzucając ochłapy pokłonów. A tu tartak

odchodzi! Paliwo się leje. Wióry równo lecą. I ogonki
drzazg. Kora się sypie na śnieg. Ruchawica do tego
pódpełza z południa, że hej. Przynajmniej będzie co

besztać. Bełtać z liśćmi i piaskiem. Zaczniemy może
od kolegów. Z dymem idą na wycug. Podlegają kłębom.
No to przystajemy. I niby że się odlewamy. Pod wiatr.

TZW.

Nigdy nie myślałam, że będę pisała do ciebie tak sprawnie.
Wydawać by się mogło: ściśle na zadany temat. A tu proszę.
Odejdź, zostaw, zapomnij. A jak. Mamy to za sobą, leżące
na płask jak gnijący cień. Jak zmiażdżony różaniec puszek

po napojach light, które gniotło się w spoconych dłoniach
dla zaspokojenia zmysłów i łaknienia zgrzytu innego, niż ten,
jaki się pamięta z radia, placów zabaw i dworcowych zapleczy.
Już my się znamy, prawda, że ach i och wystarczy puścić

przez zęby, aby przez chwilę było znowu rzewnie. Mężu,
cieniu mój. Żono, cieniu mego cienia. Z dnia na dzień ktoś
odebrał nam ciągłość, jaka winna złościć albo zastanawiać.

Czujesz się wpuszczony w krzak? Ja nawet we dwa. Widzisz,
bo kiedy niebo było jak deska, wszystko się składało na obraz
i podobieństwo. Jak klucze żurawi na tak zwanych przelotach.

KRÓLEWSKI

W kuluarach sadzawek światło skruszone jak bagietka.
Zziajane korpusy werżnięte w korę drzew. Mocna rzecz,
jak na dobry początek. Jak jesień bez cienia kasztanów,
które wykańczają się na naszych oczach. Jak nikczemne

przezrocza błękitów. Areny wypasu chmur. Inne takie
cudactwa. Właśnie wstaliśmy od stołu, sztucce kładąc
na kołnierzach spodków po temu. Podjadłszy, obtarliśmy
usta. Lecz masz coś w kąciku, mówię zaraz. W którym?

Owszem, przecież jest ich tyle. Niezłe konteksty, kontury,
parzyste komplety kącików, przychodzą na myśl. Policzmy.
Liczymy. Bóg tak chciał. Bóg chciał też dać ci nieco inaczej

na imię. Ale dwaj ojcowie, jedna matka, ech. Tranzytem
idąca przez życie, kruszynko. Bądź mi bliska, mówię tobie.
Przecież jestem, odpowiadasz, na obłok patrząc. Co jesteś?

SMAKI

Zacząłbym od żyletki. Od prawdziwie ostrej krawędzi, która by straszyla nienagannym pionem. Ale może lepiej dajmy temu spokój. Bo widzimy czyściutki kołnierzyk, zgrzane rękawy, lejbiki, nogawki w mięsistych rulonach.

A tu wiatr chce szarpać tajfuny przyszpilonych loków, choć się nie da. A ty ubrałaś. No, to teraz wiesz na co się piszesz. Zresztą posłuchaj. Dalej łopoczą już tylko jelita warkoczy i plecionki z rzęs, słone jak nie wiem, utyłane

w piaskowej panierce. A do tego słonko, że jaj. Słowem: istna sauna plus małe dodatki. Aplikacje z roślin czepnych i nadpsutych; z cząsteczek burt i wiosła powleczonego

czymś podobnym. A nogi się trzęsą. I fal sobie kosztują zawzięcie stopami. Do kolan im woda. Słuchają jej skórą. Kładą w dołkach ciemnawe butelki, kładą nadpalony cień.

ROJE

Piliśmy soki nad Ropą. Tamtędy szedł rurociąg, a tędy ścieżka, wróć, deptak z dziurawego chodnika. Godzinę wcześniej oddałem klucze od pralni, żeby nie było, że posadzka zaszała wodą przez nasze tam przydługie

zbytkowanie. Za to teraz zajmująca perystaltyka ciał. Niemożliwe wały, wałeczki, tłuszczyki. No, ale dobrze, że w ogóle jest gdzie się wystawić. Że tutaj smaźalnia. Że urwanie łba. Ukrop i duchota, jak w środku historii

o naskórkowym przeżyciu, o szkle, na którym zostawiłaś pociągłe odciski słonych palców. A tu piątek przecież. Też słony. I ryby tu wypasione łajdaczą się przy brzegu.

Nic, tylko podbierakiem, głębokim półmiskiem je traktować. I cytrynką kropić. Otóż, co. Podobno są gdzieś nici, po których można dojść. Lekarz radzi Szwajcarię.

OCZKO

Wiecie, byłam dziewczyną chłopaka o dziewczęcych ustach,
o fałszywym jak rykoszet uśmiechu. Przepraszam bardzo.
To wszystko przez to, że wychodzi ze mnie całkiem spory
kawał czegoś miękkiego, wbrew woli. Że trąca mnie ta pasja

od wewnątrz. Aż piersi w popłoch mi wpędza, w wylewność.
Chwiejcie się na myśl? Powinniście. Chociaż z drugiej strony
lepiej nam było w domu posiedzieć, bo trudno o większą
jednomyślność, niż ta z fotela, kanapy, podłogi, nieprawdaż?

Zresztą zwykliśmy chodzić nad skarpe. Po drodze mijaliśmy
kanał, potem zator. Dziurawe szmaty, zwały plastiku, kaczany
palików powtykane bez wyczucia. Jeżyło się to. W miejscu,

gdzie rzeka nadal gubi rytm i przechodzi płynnie w otwarte
przestrzenie morza drobne protuberancje wybiegały na światło.
I cóż, że udaję, że mi boleśnie. Chcecie usłyszeć to raz jeszcze?

S-KIEMU

Witamy. Oto sezon letni. Tudzież prawie przejściowy,
bowiem z całym tym zlepkiem sztafażu w przemianach
mgły w sadzę i z powrotem. Schyłkiem już zahaczający
o temat jesienny. O kształty podgrzybków nadjeżdżonych

do połowy czapek i kaleką dziczynę, której w rowach
jak brudu. A tyś wlaź w świątynię. Nie wymigasz mi
się. Tutaj pić nie wolno. Już krzyżyk na drogę i ołtarzyk
w neonach obrzucony podwiązkami chabrów stawia

cię pod ścianą. Może wejdźmy po kostki w galaktyki
związków. W zasięg pikantnych pierwiastków i życia
zgodnego z puknięciami tętna. W przestronniejsze

gmachy porostów w osi przetykanych ostem. Jam twoje
ciasto. Powtórz to z emfazą. Jesteś szybszy o zamiar.
Jak wrzeczono powieki, spod której ucieka przędza rzęs.

WIĘC HOP!

Można sobie powtarzać, że pleśń jak liszaje albo parchy mchu to tylko kwestia schorzenia, że taka działka i już. Że koniec. Chociaż swoją drogą ładne z tego dziełko jest przypadku. Zrządzenie. Kapitulacja porządku w miejscu,

na widok którego przeżywasz koszmarek i gładkość pleców rujnują ci tabuny ciarek, potem gęsia skórka. Lecz taka natura wilgoci. A flance po rabatach do stóp, a kłykcie fasoli nawet wyżej. Poprzeczny rozwój chmur.

O, pokazał się. Powstanie z kolan. Niby, że do pionu łatwo mu się przyłożyć. Chusteczką czoło i kark. Jest i drugi. Popił z kranu. Z ciałem ma spore problemy. I próbują

się w biegu przez opłotki. Piewcy bujności, zawiesistych trunków, którym w oczach źrenice stają dęba, chybcząc się wątpliwie jak balaski. Tu niech się zbiorą. Śmiałkowie.

KOLEINY

Nogami po kolana byłeś w obcym kraju, kiedy głowa
z całą resztą tkwiła jeszcze w granicach twojego.
Rower miałeś gdzieś. Bo jak tu myśleć o czymkolwiek,
gdy na twarzy trwa spektakl gwałtowności, naturalnie

sekwencje uścisków znikąd. I spostrzegasz na udach
otarcia. Nawet nie rozdarcia. Linie. Szczeliny mające
tylko długość. Mogłeś się pilnować lub uważniej
kosztować jaskółczych skrzydełek, szyjek i pęcinek,

popijać to czymś słodkim. A nie byle tylko. Wprawdzie
masz za swoje, ale to nie wszystko. Powietrze jesteś.
Zachodzisz, makówko, obłoczkiem siwizny i skóra ci

zjeżdża ze swoich miejsc. Nie myśl sobie. Już muchy
sprawę obsiadły. Że jarmark niedzielny. Że pomruk
przed burzą, jakich mało. A wy? Zwiedzajcie Ardeny.

WYSOKIE REJESTRY

Niebo powolne od chmur. Strach kielkuje w oczach.
Szlag by potrafił te bączki światełek, bagniste ogniki,
kobiece sprzączki ust właściwie poustawiać, gdyby
nie laureat rozpierany tlenem. Przekroczywszy trawnik,

zacina slalomem wzdłuż ulicy, poruszając badyłami
parkometrów. Sprężysta jaźń go płynnie naprowadza.
Tak bym to jakoś ujął. Desanty poskręcanych gazet
padają mu u stóp. Waży oddech, chód. Coś mógłby

sobie wmontować w ten widok. Jakiś charkot deszczu,
skoki łańcuchów, umieranie pilarek, klaksonów, inne
wątki brzmień. Lecz dwóch takich w porę wylezie

z ciemnego podwórka. Jeden z nich piłę zatrzyma. Drugi
się podeprze uśmiechem w doborze kierunku. A będzie
tak, jak powiem. Ani kroku więcej. Już się nie umywasz.

FOYER

Już idą ławą. Z bagażem karteczek. Ze szronem
na paznokciach z rzęs i brwi. Wychodzi z brzuchów
toreb niezły gnój. Zmielone tasieмки. Skruszone
okładki. Na domiar: nerw korzenia. Widać, że może

martwe ruszać się jak żywe. Bo wszystko współgra
jak należy. Ogonki latają bez ustanku w górę, w dół.
No i ta łacina życia. Kruche deklinacje złamanych
poranków, pikantne przedrostki w jatkach świtów.

Pragnienie gaszenia końcówek tuż przed miękkim
rozkładem na języku i na brzeżkach ust. Choć bicie
rywalek przyjdzie im swobodnie. Jasne restytucje

tkanek zmęczą organizmy. Bez osłonek należnych
łącznikom. Za to z klapkami na oczach. W słońcu
błyszczą od potu. Idą w spełnieniu. Ofiara splamiona.

SO,NET

Rzeczne zakola pełne są skrzeku, ścieków. Ścieg krawężnika wiąże asfalt z chodnikiem. No i dobrze, powie. Że genom rozszyfrowano w mig. Że szybciej, niż się spodziewano. I koniec. Z bliska komórki

większości dają wiele do zrozumienia. Słowem: cud. Na parkietach i na mostach, rozwleczonych niczym pajęczyny, co to zdolne chwycić: foliowe chałaty, spadochrony dmuchawców, piach. Właśnie jeden

taki przeleci. Zniwelowany do jednej pary rąk, oczu. A tu konar. Poruszy się jeszcze, niby to przeczesze powietrze płynnym ruchem. Zaznaczy barczystą

obecność, brylując na okazałym pułapie. I ustanie. W lustro wody uderzy i strzaska. Rozpadnie się ów kołyszący pleksiglas. Pozostanie sam tlen. Siwy dym.

GLÓWNIIE FAUNA

Przed wszystkim warkot ognia, kroczącego blatami
pól. Nośny i słuszny. Trzy dni temu skończyła się zima.
Front ciepła ruszył się z posad. Strzelił w zmiękczały
odwłok kry na stawie. Snuje wici z parującego lasu.

I ciągnie w przestrzeń, jakby dymił. Wpuszcza sprawy
ptactwa w ławice obłoków. W oparciu o nadęte brzuchy
łódek stoczonych przez żarłoczne szkodniki, tworzy
mechate kolonie brudu. I tak w kółeczko: kępka śniegu

odeprze rekonwalescencję światła, pokaże prawdziwe
wnętrze, po stawie rozłoży się gęsta rzęsa i zaskrzypi,
przesuwana. Trudna bywa tektonika sitowia. Trudne

bywają zamki z kwarcu, wnoszone przed falą. Deszcz
przez szkło definiuje barwę rdzy. Świecą pokładami
mokre boiska. Ponowne pytanie o ogień. Tak, kroczy.

NA GWIZDEK

Inkryminowany przyływ. Uciążliwy jak odbijanie
piłeczki od obślizgłej, bowiem splutej z góry na
dół ściany. Śluz i gadzety mitycznego półświatka.
Ruchliwy pył z tego leci. Pozwijany w podburzone

klęby. Iskrzące. Rozmigotane jak lepka ambrozja
na podbrudkach tłustych bożków. Ze spadzystymi
brzuchami na świat się pakujących. Z brudnymi
stopami. Z plejadami wesz na karkach i skroniach.

Lecz nic bardziej mylnego. Bo pięknieją w oczach.
Miliony rzęsek przesuwają im jajeczko. Powstają
z odmętów zaczątki płetw, ogona. Tłuką się zarodki,

wrastające w łóżysko. Zawiazki kości uzgadniają
przepływ krwinek. Będzie z tego ta, co się powiesi.
Pancerne robactwo zechce wkraczać jej do nosa.

KU NAM

Łupkiem czuć i grzybnią. Na progu gniją kopki liści.
Z pukania jak w twardą skorupkę robi się dysonans.
Niby to bicie łyżeczką bardziej ją ogłusza. I buduje
echo od podstaw, kiedy ona przebiega palcami po

udach. Nie swoich, rzecz jasna. Jak mrowie prądu.
A stałe ma napięcie. Bez wahnięć, póki co. Choć z
oporem mogą być kłopoty. Ale się w porę otrząśnie.
Spojrzy. Zachce się jej ojca, brata. Jakoby rękami

w powietrzu szukać miała zakresów jak nadajnik.
I cedzę. To imię metaliczne. Upychane w podwójne
spacje między zębami — południowym językiem.

Kończy się cały ten zgiełk, wyciągający truchelka
krewnych na śmierć. Bo wyprowadzamy podpalaczy.
Niech dowiodą, że piecze. Że już tam jest. Sam żwir.

DO SKUTKU

Pójdźmy jeszcze dalej. W opary manier, w ich przepyszny odór. Nie to, żebym w kółko chodził i zbędnie upraszczał, lecz lotkę już wziąłeś za tępawy łeppek. Więc rzuć. Usłyszysz jak drażni

powietrze i mota pióropusze światła. Jak ustala kolejne prologi do swych haniebnych zaginięć, ujmowanych w sztywną pianę i zropiały bulgót. Bo oto charczące basy wężą tuż przy deskach,

robiąc większe szpary. Ty zaś czołem przestrzeń patroszysz jak ciemne krety podziemny korytarz. Wywlekasz grudki odchodów na widok. Chociaż

wstyd purpurą gęsto fastryguje usta. Rozwiera powieki, ścina białko i ślizga się ryjem po barku. Odciąga cięciwę kręgosłupa. I puszcza. Żem łuk.

S-CKIEMU

Nie czuję się jak Mickiewicz. To fikcja. Raczej jak eteryczny i zmartwiony Wittgenstein w dziewiątym roku po opracowaniu granic języka i świata, asystujący z angielską przy zawiłym porodzie na jakimś półwyspie, w przestronnych ciemnościach,

pośród syku rozkołysanych żyrandoli, z których cieknie olej. Bo zrobił już wszystko, co było do zrobienia. No prawie że. Porodów jeszcze nie odbierał. I przydał mu się spory kapitał umiejętności. Nieźle inwestował. Deficyt intelektu przenosił

z roku na następny. Zaprocentowało lenistwo. Dzieciak nie wypadł mu z rąk. Po prostu traf. Z rękami na skroniach siadywał na oberwanej skarpie. A bór nawoływał: no chodź. Zakręcał

więc whisky i siedł ze spuszczoną głową. Depcząc po śladach mijał bagnisko naszpikowane szkieletami potopionych jeleni. Kopce torfu. Potem długo, długo nic. Nic poza wrzosem yardleya.

H-OWI

Widzę go, jak przez lane szkło. Przez ramię go nie widzę.
Co najwyżej odwróconego plecami w ruchomym kapturze
na głowie. Niesie książki obwiązane sznurkiem i mówi:
oho. A wokół kursują prążkowane wydmuszki pszczół.

Dyszące sterowce ciem. Motyle cieniutkie i sine jak skóra
Lidy na mechatych skroniach. I wchodzi tak w aurę bezładu.
Odkłada kieliszek schlapany (oho) popielatym alkoholem
i daje owadom rozkaz do wylotu. Czołgami otoczyli wioskę.

Jednodniówki naruszają im pancerze. Cała reszta zostanie
na umownych tyłach. I żadnych strat, ponadprogramowych
rozkurczy, spięć i nadużyć. Można sobie poszaleć w formie

i treści. I (oho) pójdzie z wami Jan, co to na pomniejsze
gryzonie Bebe huczał. Jan znał też chrupkie imiona kobiet.
Granity podążające ku morzu. Oho. Angielskie substancje.

OTOCZAKI

Podniebna krwawica. Zrujnowane królestwa krwinek białych,
czerwonych, opancerzonych skrzepów zimy nie do zdarcia.
Ani śladu po piórach ptaków. Przedsionki, komory opustoszałe
i mgliste. Jakbym próbował być kwaśnym chlebem i morską

wodą. Organoleptyczną breją z resztek po jabłkach, kawie, rdzy.
Po zmywaniu. Wczoraj nawet byłem. Konwojowałem zataczającą
się Lidę. Stan wskazujący, tryb rozkazujący. Mogłeś zobaczyć,
jak mści się na śniegu i zostawia za sobą ciepłą ścieżkę śliny.

Jak ślepe robactwo uchodzi w mgnieniu do nor i podziemnych
schronów w trzasku łamanych żerdzi, belek, par odnóży. Szorstkie
ślimaki, strapione krety też. (Zima?) Tych zresztą było najwięcej.

Kondukty strapionych, chudych kretów. Phi. Rozważ krzyżówkę,
a otrzymasz fant. W tym segmencie testujemy przekrój pamięci
i szyku. Idzie odwilż, potem będą roztopy. Usypiska szmat, czasu.

P-DLE

To jest liryka woli. Dobrej, jak mniemam. W przeciwnym wypadku nie było mnie tu w charakterze, w jakim przychodzę. Jestem postać sfingowana. Wysłannik rozkołysanych cyklonów, burz pełnych elektryczności i brunatnych piekieł. Przestrzeni

wolnych od nadmiaru użytkowych dźwięków. Mam ważną rolę. Misję. Za jakiś czas wezmę papiery i pójde z tym wszystkim do diabła. Pochwalę się jakich mamy w kraju poetów krajobrazu, a jakich nastroju. Zdam relację z przykrych literówek i gromkich

manewrów świętych zwierząt o parzystych kopytach, o kreciej i cuchnącej sierści. I will puk (od pukania pukawek, papierowych też) you, poor man, powie znieważony diabeł, eksperymentujący

przy fiolkach z żywiołem płomyków. Potem będzie koszykówka, jeden na jeden. Bez obluzowanej obręczy, bez siatki. Znajdować miejsce dla dramatów, które potrzebują czasu. To jest woła liryki.

NIE DOSZŁA

Leżała w kałuży. O, takiej, jak ta. W wodzie, o chłodzie.
I wskazuje paluchem z kwaterką brudu za paznokciem.
Tam gazeta stara się odchodzić od płaszczyzn chodnika,
od oka ryby, przewróconej na bok, zaskoczonej takim

obrotem. Swoim stanem. Jakby statecznikiem, że jej się
uchyla bardziej, niż potrzeba. Wszędzie cegły. Tramwaje
rozbite. Śmietnik. Złomowisko protez i węzłki rurek.
Mówi, że niby takie udawane piszczele. Ciągnie opowieść

pełną poręczy. Bzdur, podreperowanych kłamstewkami,
słowotokiem. Myśmy ją myły. Ojciec ją cucił. Ale nic.
Silnik przestał pracować czy mostek podupadł. Runęło to.

Tam teraz palą, mordują, tam dzicz. A czułyśmy, że coś
się wyświęci. Tarczki lodu miała na czole. Strąki sopli
jak warząchwie. W talii osa była, że styk nieba z ziemią.

SPIS TREŚCI:

Mall	5
Loty	6
Azja	7
Dech	8
Igielit	9
Lucjany	10
Helu	11
Post	12
Tzw.	13
Królewski	14
Smaki	15
Roje	16
eM	17
Oczko	18
S-kiemu	19
Więc hop!	20
Koleiny	21
Wysokie rejestry	22
Foyer	23
So, net	24
H-owi	25
Głównie fauna	26
Nagwizdek	27
Ku nam	28
Doskutku	29
S-ckiemu	30
eS	31
Otoczaki	32
P-dle	33
Nie doszła	34

